

Jeżeli macie ochotę na absurdalną zabawę, wybierzcie się na „Arabską noc”, graną na Scenie pod Ratuszem

Komiczne oratorium

Najpierw jest biała kapsuła, wewnątrz niczym z filmu Kubricka. Jakaś wanna, jakieś kosmiczne okno i także ściany, nie mające nic wspólnego ze starymi cegłami Sceny pod Ratuszem Teatru Ludowego. Biała podłoga po kostki zalana jest wodą, w której brodzi piątka aktorów w białych szlafrokach. Ale brodzi tylko do czasu. Bo zjawia się Pani Dyrygent z batutą w ręce oraz pulpitem na nuty. Zasiada na widowni i zaczyna dyrygować losami ludzi. Raz zwiększa tempo ich działań i dialogów, to znowu zwalnia, sprawiając, że głosy nakładają się na siebie, przechodzą w fortissimo, osiągając kulminacyjny, wręcz erotyczny szczyt, po którym może wybrzmieć już tylko cisza.

Czeski reżyser Tomáš Svoboda razem ze scenografem Jaroslavem Bónischem stworzyli sceniczne oratorium, wpisując w jego formę sztukę Rolandą Schimmelpfenniga, zatytułowaną „Arabska noc”. To pozwoliło twórcom dystansować się do tekstu i osiągnąć po-



Od lewej Andrzej Róg, Dominika Markuszewska na kolanach u Marcina Kalisza, Andrzej Franczyk

FOT. JACEK KOZIOL

ziom absurdu, który bawi paradoksalnie tym bardziej, im bardziej zapętłona historia zaczyna nabierać sensu. Bowiem jest to opowieść o tym, co wydarzyło się pewnej czerwcowej, upalnej nocy w jednym z miliona bloków. Otóż woda przestała płynąć z kranów, nie dając szansy bohaterom na wieczorne ablucje, gotowanie i inne życiowe czynności. Na dodatek zepsuła się winda,

której nikt nawet nie starał się naprawić.

W tę sytuację, niczym z filmów Barei, wrzucono piątkę bohaterów. Gospodarza domu Hansa (Andrzej Franczyk), który tak naprawdę nie jest specjalnie zainteresowany awarią; śpiącą królową Franziskę Dominiki Markuszewskiej, która przespia życie, wieczorem nie pamiętając tego, co robiła rano; pełną namiętnych uczuć

Fatimę Małgorzaty Kochan, która wnosi do spektaklu powiew orientalnej egzotyki i jej narzeczonego Kalila Marcina Kalisza, któremu w głowie tylko jedno. Jest jeszcze Andrzej Róg, czyli zamknięty w butelce po koniaku Peter. Kto nie wierzy, że to możliwe ze względu na wzrost aktora, powinien koniecznie wybrać się na „Arabska noc”. Na jego widok popłacz się ze śmiechu, tak samo jak oglądając pozostałych aktorów, z których każdy zbudował osobną, komiczną postać.

Bo w tym spektaklu tak naprawdę najważniejsza jest dobra zabawa, choć żarty mogą czasami wydać się nieco sztuczne, a intencje twórców przedstawienia kierować w oniryczno-erotyczne rejony. Można tu doszukiwać się poetyckich metafor, westchnąć nad szczęściem Hansa i Franziski, którzy na balkonie odnaleźli w końcu miłość. Ja bym jednak radziła dać sobie z tym spokój i po prostu bawić się doskonałym aktorstwem, które jest największym atutem tego spektaklu.

MAGDA HUZARSKA

Odkręcić Niagarę

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

PAWEŁ GŁOWACKI

Tak się estetyczne sprawy poukładały, że po wyreżyserowanej przez Jana Klatę „Orestei” Ajschylosa byle co jest w teatrze ulgą. Tego się boję. Lękam się, że gdy bezpośrednio po premierze Klaty w Narodowym Starym idę w Krakowie na inny seans – rzecz zachwycić mnie może nie ze względu na swe samodzielne walory, lecz dlatego, że nie wymęczył jej Jan Wieczny Kontestator Wszystkiego. Lękam się, że tak było z „Arabską nocą” Rolanda Schimmelpenniga.

Rzeczoną „Oresteję” widziałem we wtorek, „Arabską noc” zaś, na Scenie pod Ratuszem wyreżyserowaną przez Tomaša Svobodę – już w piątek. Ledwie dwa dni różnicy, a dwa dni po Klacie – to nic. Człowiek wciąż jest nerwowym jak jasny gwint. Dzień, dwa dni po Klacie człowiek idzie przez świat i z siną duszą na ramieniu rewolucyjności wypatruje, słowo daje, gdzie popadnie.

Jaka pewność, że baba w kiosku nie okaże się Wolnością z gołym cymem i lewicową chorągiewką w łapce wstępującą na barykadę gazet? Piwa po ludzku wypić nie można, bo piana gotowa ułożyć się w irokeza Ludowego Trybuna, który z kufla wychynie i zażąda od ciebie troski o los poniżanych w liberalizmie. Strach iść, lęk siedzieć, bojaźń oddychać, bo chodnik gotów wołać o humanitarną pogardę dla bezdusznych mediów, zydelski upomni się o głos w sprawie upadku uczucia w dobie Internetu, powietrze zaś wyssie z płuc twych skowyt protestu w pałacej kwestii wojny w Iraku. W epoce twórczości Klaty twe przejście przez ulicę ma rację bytu, o ile stopy twoje wyraźnie wyczłapią na zebrze takt gorzkiego songu o niesprawiedliwej i bolesnej doli Przesiedlonych, Wysiedlonych oraz Wywiezionych. Amen.

Krótko mówiąc, po „Orestei” Klaty byłem niczym ów kmiot żałosny, bohater „Monizy Clavier” Sławomira Mrożka, który to kmiot mordę publicznie rozwiera i na swe gruntownie przez próchnicę zżarte jedyńki wskazując, ryczy: za wolność, panie, za wolność wybili... Nie powiem – gdy w piątek na widowni Sceny pod Ratuszem zasiadłem, z punktu ryj rozwarłem i paluchem ubytki wskazywać zacząłem, bo jakby się kto pytał, co ja tu robię – patriotyzmem i humanitaryzmem pragnąłem się wykazać. W końcu nigdzie nie było powiedziane, że Svoboda to nie Klata albo że nie jest „klatyzmem” zarażony. Ba, w kulminacyjnym punkcie pragnąłem koszulę na piersi potargać i pieśń o wyklętym ludu ziemi piejąc – na progu wyjścia z widowni w rejtanowskim stylu paść chciałem na pohybel wszelkim bolączkom nadwiślańskiego kapitalizmu. Na próżno.

Nie było potrzeby aż tak piramidalnie się kompromitować, gdyż reżyser Svoboda to artysta duchowo zrównoważony. Zresztą – dramaturg Schimmelpennig też. A opowieść jest prosta niczym kran. Oto na którymś tam, bodaj na siódmym piętrze przeciętym bloku w Niemcezech pęka rura. Nagły brak wody. Wszystkie krany milczą. Klops z kawą i herbata, klops z dolnopłukami, klops z zupą, klops z higieną, klops z kwiatkami, klops ze wszystkim. Schną wargi. Pot parzy skóry. To, co jest do wypicia, pokrywa podłogi. Woda zalała siódme piętro... A może nie? Może to już są rojenia tych, co tu tkwią i wyjść nie mogą? Kto wie, może mogą, lecz nie chcą?

Hans Andrzeja Franczyka, Fatima Marty Bizoń, Franziska Dominiki Markuszewskiej, Kalil Marcina Kalisza i Peter Andrzeja Roga. Oni, rezydenci siódmego piętra, taplają się w wodzie pokrywającej podłogi, która w istocie jest wodą ich wyobraźni. Opowiadają sobie niestworzone historie. Może z pragnienia zwyczajnego, a może z pragnienia bycia choć przez chwilę po tamtej, odwrotnej, baśniowej stronie świata, na poetycznej podszewce swych racjonalnych dni i nocy – roją najprzeróżniejsze cuda fabularne, w słowach ucieleśniają swe marzenia. Gadają. Niczym Szeherazada, która w „Baśniach z tysiąca i jednej nocy” gada bez końca, bo wie, że koniec opowieści będzie końcem jej życia.

Julio Cortazar, arcy mistrz szukania w świecie i zapisywania tych tajemnych furtek, co wiodą na drugą stronę tępej racjonalności, o chwilach, gdy sekretne przejścia nam się udają, mawiał: to tak, jakbyś puszczając u siebie wodę do wanny – zarazem uruchamiał wodospad Niagara. „Arabska noc” Svobody nie jest niczym innym – niczym mniej, niczym więcej – niż radością tego zdania, jego dziwnością, jego baśniowością. Zabawą wędrowania od słowa do słowa.

W śnieżnobiałej, wybornej scenografii Jaroslava Bönischa pięciogłowa Szeherazada – Hans, Fatima, Franziska, Kalil i Peter – cudownie papie o miłości, zapętla frazy o tęsknotach najskrytszych, śpiewa, szepcze, mruczy, słowem – jest. Jest, bo mówi. Mówi nie po to, by karcie polityków, co są w naprawianiu hydrauliki oporni, nie po to, by dla biednych mieszkańców blokowisk wywalczyć zniżki na wodę, wreszcie nie po to, by wargą schnącą pod milczącym kranem wycisnąć z nas łzę pocieszenia dla dzieci mrących z pragnienia w Etiopii, Kongu oraz Somalii. Nie.

Przez godzinę i kilkanaście minut na Scenie pod Ratuszem pięciogłowa Szeherazada sprawdza, czy sztuka prawdziwa jest w istocie tak lotna jak gips publicystycznych agitek scenicznych Klaty, czy tak pozornie, fantastycznie zbędna jak arabskie rojenia nocne, które dyskretnie poszerzając świat o baśniową nieuchwytność – odwołują wyrok. O noc. O opowieść. O zdanie. O słowo.

Teatr Ludowy, Scena pod Ratuszem. Roland Schimmelpennig „Arabska noc”. Reżyseria Tomaš Svoboda. Scenografia Jaroslav Bönisch. Muzyka Karel Albrecht.

R E K L A M A

Zgodnie z licznymi sugestiami naszych Widzów

KRONIKA TELEWIZJI KRAKÓW od 5 MARCA

znów o 18:00 oraz o 18:30 (Pr. 2,3 TVP)



Teatr Ludowy w Krakowie, Scena pod Ratuszem
Roland Schimmelpfennig

arabska noc

przekład: Elżbieta Ogródowska-Jesioneł, reżyseria: Tomas Svoboda, scenografia: Jaroslav Bönisch,
muzyka: Karel Albrecht, konsultacja choreograficzna: Tomasz Wygoda,
przekład na język arabski: Łukasz Popielawczyk, premiera: 2 marca 2007

PLUSY

1. Interesująca forma spektaklu. Dramat Schimmelpfenniga, rozgrywający się w mieszkaniach, na korytarzach i w windzie niemieckiego bloku, podczas upalnej nocy, na granicy snu i jawy, został tu ukazany w konwencji... farsy. Pięcioro aktorów wygłasza pięć monologów, osobnych opowieści, które zajądają się jedynie w wyobraźni widza. Słowa padają tu w isticie ekspresywnym tempie – przedstawienie trwa niewiele ponad godzinę i wymaga dużej koncentracji po obu stronach rampy. Bohaterowie „zagadują” się wzajemnie, a niemożność porozumienia między nimi prowadzi do sytuacji dziwnych, dwuznacznych, a nawet tragicznych. Ale, ponieważ cała opowieść zdaje się być wymyślona przez współczesną Szeherazadę, Franziskę (Dominika Markuszewska), nie wiadomo, co się zdarza naprawdę, a co jest tylko fantazją.

2. W precyzyjnie skonstruowaną formę doskonale wpisuje się scenografia. Niewielka scena została zamieniona w łazienkę (czy może saunę?). Ubrani w białe szlafroki aktorzy brodzą po łydki w wodzie. Atmosfera jest gęsta i duszna. Bohaterowie przebywają na wyciągnięcie ręki od siebie, choć na ogół się „nie widzą”, rzadko wchodzą w interakcje. Wszechobecna woda podkreśla i potęguje upalną atmosferę, rozleniwia, przenosi postacie i wydarzenia na trudno odróżnialną granicę snu, jawy, arabskiej baśni.

3. Siłą spektaklu są aktorzy, pewnie prowadzeni przez czeskiego reżysera, Tomasa Svobodę. Można powiedzieć, że przyjął on tu na siebie rolę dyrygenta aktorskiego kwintetu. Każdy gra w innej tonacji. Fatima (Marta Bizoń) jest głośna i impulsywna, jej współlokatorka, śpiąca na jawie Franziska – romantyczna, dozorca Hans (Andrzej Franczyk) – konkretny i rzeczowy, za to Kalil (zabawny Marcin Kalisz) nie grzeszy inteligencją, to typ „skóra, fura i komóra”. Pierwsze skrzypce należą natomiast do Andrzeja Roga, w groteskowo-tragicznej roli mężczyzny zamkniętego w butelce koniaku, którego śmierci właściwie nikt nie zauważa.

MINUSY

1. Momentami aktorzy wpadają w pułapkę zbytnej komediowości, gubi ich forma przedstawienia. Nie wszystko w tej sztuce da się wygrać jak farsę bez szkody dla tekstu. Przez to nieco sztuczne stają się, na przykład, początkowe sceny z Franziską, które miały wprowadzić klimat magii, baśniowości. Zachęcony pogonią za gagami (inna sprawa, że przyzwyczajony do farsy wystawianych Pod Ratuszem) widz zaczyna od spektaklu oczekiwać przede wszystkim wzbudzenia śmiechu. Jednak Schimmelpfennig to, mimo wszystko, nie Chapman.

2. Na premierowym przedstawieniu nie wszystko w aktorskim koncercie zabrzmiało czysto. No cóż, skondensowana forma, którą wybrał dla tego spektaklu Svoboda, wymaga od wykonawców precyzji szwajcarskiego zegarka.

Agnieszka Olczyk